

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 21 Lutego 1914 roku

No 8.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

8

Powieść z obcego życia.

— Wszyscy goście są oburzeni.
— Nję podobnego nie słysza-
łem. Książę zapewne się myli. Zre-
szta to są plotki służby. Ci państwo
wożą ze sobą tyle służby, że pewne
plotki tworzą się same przez się, z
niczego, bo ci ludzie nie mają nic in-
nego do roboty, jak obmawianie
swoich państwa.

— Mój panie... zechejcie pan nie
zapominać, z kim mówisz. Ja się ze
służbą w rozmowy nie wdaję!
Wiem, co mówię.

— Książę wybacz. Pan van
Joerg ze swoim domem, to jeden z
najlepszych klientów wszystkich ho-
telów naszego syndykatu...

Książę wyjechał tegoż dnia. Po-
żegnanie jego z markizem było nad-
wyraz chłodne.

Mała Charlotta wraz z matką
były jednak osamotnione. Inne dzie-
ci nie bawiły się z nią. Bony, nianki,
rozmaite damy do towarzystwa i
wreszcie rodzice pilnowali swoje
małe od wszelkiego zetknięcia z ta-
jemniczą dziewczynką.

Charlotta nie zdawała się do-
strzegać swego osamotnienia. Cho-
dziła z matką, zawsze poważną, z
zapatrzonymi kędys wielkimi nie-
bieskimi oczami. Przesuwała się
między ludźmi, jak lunatyczka. Jej
nadzwyczajna, złowroga uroda bu-
dziła niepokój. Trudno było zapo-
mnąć jej spojrzenia. W Zermatt o-
glądano się za nią i była niejako
sensacją sezonu. Ubrana, jak kró-
lewskie dziecko, otoczona szatań-
skim urokiem swojej wszystkim nie-
omal znanej tajemnicy, pokazywa-
ła palcami, chodziła w swojej bez-
wstydną chwale, jak hóstwo nie-
świadome dobra i zła, wyższe ponad
wszystko.

W duszy przechodnia, który ją
obrzucił ciekawym spojrzeniem, ja-

ko osobliwość, na chwilę mąciła się
jasność sądu. Zjawisko odurzało, ta-
mało logikę moralną i na mgnienie
oka, na moment przed rozstrzygają-
cym odruchem oburzenia — pory-
wało niepojętym zachwytem.

Było w niej coś, jakby bluźnier-
cza, szatańska prawda, w jej posęp-
nych oczach skupiał się wieczysty
powab grzechu — ów, który pod
grozą piorunu z jasnego nieba i
wszystkich mąk piekielnych porywa
jednak ku sobie tajemne westchnie-
nia człowieka.

W niej poznawał przechodzień
widziałą swoich snów niespokoj-
nych, półświadome, mętne urywki
rzeczy ongiś różnemi czasy zachcia-
nych. Było w tem coś z piekła, było
coś z nieba...

Matka, dystygowana, młoda
kobieta, ubrana bez zarzutu, z nie-
zmiernie kosztowną prostotą, miała
wyraz twarzy zawsze niezmiennie
uprzejmy, w oczach rozumną bez-
myślność paryżanki i zdawała się
naprawdę nie zdawać sobie z tego
wszystkiego sprawy.

— Mamusiu, dziś mała obieca-
ła mi kupić kucyka. Jak przyjedzie-
my do Davos, już tam będzie na nas
czekał. Ja chciałam siwego i taki
będzie.

— Charlotte! Jeżeli jeszcze raz
ośmielisz się tak nazwać naszego
drogiego przyjaciela...

— Przecież ja tylko, tylko do
ciebie jednej na całym świecie.

— Niewolno! Niewolno nigdy,
głupia, niedobra dziewczyno! Zgu-
bisz siebie, mnie i całą rodzinę! Po-
winnaś go bardzo, bardzo szanować
i kochać.

— Przecież ja bardzo szanuję!
Ale jakże można kochać. Taki stra-
sznie brzydki, ach, jaki...

— Jesteś jeszcze mała i powin-

no ci być wszystko jedno. Nie znasz
się na takich rzeczach.

— Ach, mamusiu! Ty przecież
tego nie wiesz, jaki on jest napraw-
dę... Już tyłu widziałam w Paryżu,
a przecie nawet płakałam, kiedy mu-
siałam po raz pierwszy...

— Słuchaj matki! We wszyst-
kiem słuchaj matki, która ci życzy
dobra!

— Przecież ja zawsze słucham.

— Powiesz mi dzisiaj, tylko
serdecznie, najserdeczniej, że go ko-
chasz, że go strasznie kochasz, naj-
więcej!

— Dobrze, powiem, ale ja tego
przecież nie będę czuła.

— Będiesz czuła! Nasz przy-
jaciół kupił ci całą. Płaci tak niesły-
chanie, że za to grzech jest go nie
kochać. Niedobra jesteś.

— Mamusiu, a jak będę doro-
sła?...

— To pomówimy o tem wów-
czas.

— Mnie się często zdaje, że już
jestem zupełnie dorosła. Ja wszyst-
ko rozumiem.

— Głupia jesteś. Proś go, żeby
nas koniecznie zabrał do Ameryki.
Nie masz pojęcia, jak tam ślicznie.
Czy ci może wczoraj obiecywał?

— Nie obiecywał. Ale ja zupeł-
nie nie chcę do Ameryki.

— Cheesz! nie gub siebie i bra-
ci! Nie zatruwaj mi życia!

— Kiedy ja się strasznie boję
morza!

Będziesz siedziała zamknięta w
takim samym mieszkaniu, jak wszę-
dzie, możesz nawet wcale nie wi-
dzieć wody.

— A jak utonę?

— Nie utoniesz.

— Och! Mamusia tego nie może
wiedzieć. Strasznie się boję...

— Wolisz wracać do Paryża, że-
by się kryć? Żeby wpadała policya?
Te draby? Cheesz, żeby przez ciebie
matkę wzięli do św. Pelagii, a sama
może cheesz do przytułku, gdzie za-
konnice będą cię bić różgami i ka-
zą ci pracować, prac, kartofle obierać

od rana do nocy? Co się z tobą stanie?

Dziewczynka zamilkła i wzdrgnęła się na wspomnienie strasznej sceny z przed półtora roku, kiedy matka w jej oczach całowała po nogach wrzeszczących policyantów, a gruby, stary pan, który u nich był, wyjmował z pugilaresu mnóstwo pieniędzy i rozdawał wszystkim nokoło, płacząc.

I Charlotta ukryła się czempredcej w zielonej kępie wierzb w Buzeville (tak się nazywało pewne wymarzone, nieistniejące i najśliczniejsze na świecie miejsce) i patrzyła na swoją szeroką, leniwie płynącą rzekę, na swoje białe łabędzie, na swoje krowy, chodzące po łakach. Tam nie będzie nic, tylko samo szczęście. Żadnych ludzi! Żadnych dzieci! Nawet mamy nie będzie. Jeno obłoki modrem niebie, ciepło i wszędzie kwiaty, nie takie, jak w Paryżu, ogromne i drogie, ale maleńkie, polne, niebieskie i białe, najmilejsze.

Van Joerga unikano. On sam jednak nie pchał się do ludzi. W salonach ogólnych, w hallu pokazywał się rzadko.

Jeden Shurman zaczekał go czasami i wyciągał na rozmowę. Stary czuł jeszcze w duszy niepokój i pragnął zgody z „małpa”.

— Bawisz się pan dobrze?

— Jak zawsze. A pan?

— Nicosobliwie. Właściwie, nigdy nie umiałem odpoczywać. To lekarze wygnali mnie do Europy. Liczę dni, kiedy będę już mógł wrócić do siebie.

— I nad czym to pan tak pracujesz?

— Kpisz sobie, van Joerg?

— Nie. Zupełnie seryo. Ja też prowadzę sporo interesów, ale pracę pozostawiam moim urzędnikom. Ja tylko myślę, a na to nie trzeba wiele czasu. Lubię się bawić. Na świecie tak dużo miłych rzeczy...

— Och! Miłe rzeczy! Iluż one zgubili najdzielniejszych ludzi. Dziwactwa, manie, choroba rozsypywania złota po wszystkich gościach Europy! Neurastenia ludzi bogatych... Iluż takich znam!...

— No, dajże spokój, mister Shurman, wiecznie nie można pracować.

— Można wiecznie pracować! Trzeba mieć wielki, kolosalny cel! I być tego celu wiernym niewolnikiem. A światu — panem.

— Może powiem głupstwo, ale wydaje mi się, że ja już jestem panem świata.

— Powiedziałeś głupstwo, van Joerg. Daruj, ale ty jesteś niczem.

— O, nieprawda! Co chcę, to mam...

— Bardzo ci wierzę. Ale za mało chcesz! Pan właściwie nie chce. Bawisz się, jak umiesz i potrafisz. Pieniądzy ci starczy, bardzo wierzę. Ale to jest nic. Mógłbyś być,

gdybyś chciał... A jesteś—zero; wiadać, sam tak wolisz.

— Och, Shurman, zostawmy kądzemu, co woli.

— Naturalnie! Nie naturalniejszego. Zostawiacie wolne pole dla ludzi czynu...

— Najzupełniej wolne, otwarte pole! Zobaczymy, co z tego będzie.

— O, mój drogi van Joerg, tacy, jak ty, niczego tu nie dojrzą. Ślepy jesteś. Iluż takich znam w naszej sferze! Wy się bawicie, prawie wszyscy. Weź choćby nasz hotel: stary Slazenger, który od dziesięciu lat nic nie zrobił, tylko tyje, ta głupia wdowa, która bezmyślnie więzi piękny majątek, tacy waryaci, jak Lyttonowie, no i ty wreszcie, drogi i miły van Joerg, który się zapatrujesz na sprawę najpoważniejszą, jaką tylko jest, oczami dwudziestoletniego młokosa!

— A wiele pan masz lat, jeżeli wolno?

— Pięćdziesiąt siedem!

— A ja pięćdziesiąt trzy. I powiem ci, że chcę żyć jeszcze długo i wesoło. Nie chcę pracować więcej. Nie chcę i już. — Namęczyłem się w życiu, a teraz odpoczywam. Gdybym do śmierci biegł za interesami, gdybym nadal toczył walkę, jak przez lat trzydzieści, i targał sobie nerwy — byłbym waryatem. Dostę! Ja dopiero od paru lat żyję... Radzę ci, mister Shurman...

— Dziękuję panu.

— O, nie uśmiechaj się, pan. Kiedyś ponamietasz moje słowa... Kiedyś, w jakiejś przykłej godzinie. Ale będzie zapóźno.

— Nie obawiaj się pan! Ja wiem, co robie. Ja wiem, po co żyję.

— I tak aż do samej śmierci!

— Moja śmierć niewiele znaczy w mojej sprawie.

— Oj, Shurman — coś pan mówisz, u diabła...

— Mam syna, który jest taki sam, jak ja.

— Tak, tak...

Van Joerg zdawał się zastanawiać nad czymś z całą powagą. Wszystkie zmarszczki z twarzy zebrały mu się na czole. Ale już po chwili czoło uczyniło się gładkie, a skóra nokoło ust i nos oczami nofaldowała się potwornie. Śmiał się.

— Tak, tak... A ja, niestety, mam same córki, dużo, dużo córeczek... I wciąż mi się rodzą nowe... nowe... I wobraż pan sobie, nigdy nie dochodza nawet do lat siedemnastu! Znikają mi dzieci. Nieprawdaż, jakie to dziwne?

Shurman błysnął oczami i zakończył rozmowę.

— Małpa — małpa! — mruknął.

Van Joerg z radością patrzył za odchodzącym. — Ot, jeszcze jeden maniak — pomyślał. Jeszcze jeden idyota, który nie umie żyć. Będzie się do śmierci trapił pracą, do śmierci będzie zbierał milion do miliona, gotowy na wszystko najpodlejsze. A jak go na tamtym świecie zapy-

tają — po coś żył? Ta mumia biurowa chce mnie uczyć.

Van Joerg doskonale wiedział, po co żyje. Z rozkoszą zapalił cygaro, rozwalił się w fotelu na tarasie. Na drugim końcu grupa gości oblegała teleskop hotelowy, wymierzony w białą ścianę Matterhornu, gdzie o tej porze przypuszczalnie mieli przechodzić Lyttonowie ze swoją wyprawą. Tłoczyli się młodzi, starzy, pchały się dzieci.

— Obaj oni są w każdym razie wiele mądrzejsi od Shurmana.

Pałac drzemał, myśląc z rozkoszą, że za godzinę podadzą śniadanie, które zje ze smakiem, że potem będzie spał błogo. A potem wejście cicho swojemi cudnymi boscami nóżkami i zbudzi go ze snu Charlotta, ten najrozkoszniejszy na świecie nierozchylony kwiat, nagroda i zapłata pracy, kłopotów, nienawiści, wzgardy ludzkiej, pociecha starości, korona i cel życia, niebo na ziemi.

Był szczęśliwy. Wiedział, czego chciał. Miał wszystko, czego zabrał. Radowało go wszystko — nawet odbicie w lustrze jego małpiej postaci.

Shurman pisał do syna:

„Skarżysz się na upały i prze-męczenie. Pozwalasz sobie wyrzekać. W liście twoim zawiele niepotrzebnych słów. Bądź mężczyzną! Bądź godzien celu, do którego cie Bóg powołał. Masz dźwignąć na swoich barkach potęgę, jakiej nie było jeszcze na świecie, a jeżeli wiesz, że ci być królem na ziemi, to cierp i znos i naucz się kierować tysiącami ludzi, zanim miliony istot nie będą zależne od twego skinienia. Rozkosz potęgi jest najwyższą radością śmiertelnego człowieka!

— Nie odpowiadasz na moje pytania! Pytam więc wyraźnie i jeszcze raz, czyś już zapomniał o głupstwach? Człowiek mocny szydzi z miłości, z kobietą wolno mu się tylko zabawić. Jeżeli jeszcze cierpisz, to wstydz się bardzo!

— Natychmiast po powrocie rozpatrzę się jeszcze raz w wiadomej ci sytuacji. Ożenisz się przed Nowym Rokiem. Chcę mieć wnuków i chcę jeszcze za życia pokierować nimi, a żebym, umierając, wiedział, że nie zaginie moje dzieło.

— Harry! Bądź posłuszny! Ani-bawem poczujesz, że jesteś potężny, a więc szczęśliwy. Nie zważaj na to, co robia, co myślą i co mówią nokoło ludzie. Ty masz być inny! Z dniem twego urodzenia już byłeś, jak to nazywają ludzie, kolosalnie bogatym. A teraz masz trzykroć tyle. To jest jeszcze nic. Ty masz władac!

DCN.



Legenda o królu.

Ludwik H. Morstin, poeta „Lilii” białych, co wyrosły na grobie Pana i jasną swą bielą piętnują grzech i zdradę, napisał nową „Legendę o królu”. Niezadtu zapewne ta rycerska baśń ujrzy światło kinkietów teatralnych. Korzystając z uprzejmości autora, dajemy wyjątek naszym czytelnikom, w nadziei, że ta bajeczna, bojanowa legenda, stanowiąca nowy etap w rozwoju twórczym młodego poety, obudzi żywe zainteresowanie.



Ludwik Hieronim Morstin.

AKT I.

Obraz I.

Na zamku Strzemiona.

W tym akcie trzeba tak ustawić płótna, by zgięte w murów krużganki i łuki zamku przestronne obiegły podwórze, gdzie ma początek odegrać się sztuki. Zamek w Karpatach jest.—A więc ku górze lasem obrośle niech się wznoszą szczyty, za niemi Tatrów podniebne turnice. — Światłem blask słońca udać i błękity.

Bramę też trzeba ustawić plastyczną, na ścieżaj ma być otwarta. Na moście, który spuszczone jest, rycerze-goście przy podniesieniu zastony niech staną. Ten z nich, co głowę ma koronowaną, pierwszy odezwie się na pustej scenie, a nie poznają królewskości w słowie; wždy proszę, którzy będą aktorowie w tego rycerza chodzili osobie, by ród i godność jego mieli w cenie. — W całym przepychu, blasku i ozdobie o sceniczności jeszcze to nadmienię, przeszłości świetna winna odżyć krasa, czynem narodu pieśń, co czyni śpiewa. Polsce współczesnej służy za prymasa Frycz, który królów w teatrze odziewa.— Oto jest posąg ze krwi i płomienia, więc się nie trwóźcie, że czas wielkość

peła, że naród trumny bierze za odzienia, bo żywot daje moc przemiany święta, co w czurodziejstwie sztuki jest zakleta.

OSOBY AKTU PIERWSZEGO.

Jan Olbracht, król Polski.
Jaszko, dworzaniin królewski.
Rycerz Strzemion.
Krysta, jego siostra.
Opat klasztoru Bernardynów.
Szafarz.
Dziewczyna służebna.
Giermkowie, dworzanie.

Rzecz dzieje się na zamku w Karpatach. Scena przedstawia podwórze kasztelu obronnego z czasów piastowskich. Naprzeciw widowni brama otwarta i most zwodzony opuszczony. Na prawej stronie sceny baszta i dwa wyjścia do zamku. Na piętrze ganek z gotykiem sklepieniem. Na lewo mur i widok na góry, lasem pokryte. W dali Tatry. Przy pod-

niesieniu kurtyny na moście w bramie staje Olbracht i Jaszko. Wchodzą w podwórze zamkowe.

SCENA I.

OLBRACHT.

Wreszcie dziękować Bogu: schronienie znajdujem w drodze. Bom też znużony srodze.

JASZKO.

Ale straż nie wita od progu.

OLBRACHT.

Na myśliwskim zatrąbij rogu.

JASZKO.

Widno, że nie trzymają tu straży.

OLBRACHT.

Na skalistej parowiu opoce z górą zamku zczepione gontyny.

JASZKO.

W dole strumień falami łopoce.

OLBRACHT.

U stóp mych szumią jodły i choiny. Kasztel ten stare mury z ziemi dźwiga, jeszcze piastowskie wznosiły go moce.

JASZKO.

Zamek skalny w lesistej pomroce.

Łacno mogą gnieździć się zbójcy.

OLBRACHT.

Tarcze widzę rycerskie u progu. w polu błękitnem złoty znak prześwica. To jest obronna moich ziem strażnica, na myśliwskim zatrąbij rogu.

JASZKO (w róg zadął, po chwili).

Młozian stanął w drzwiach i białogłowa.

OLBRACHT.

Teraz mówię ja, ty nie przecz słowa.

SCENA 2.

(Rycerz Strzemion z siostrą staje we drzwiach).

OLBRACHT.

O gościne prosz was wędrowiec.

STRZEMION.

Wolno wiedzieć rodu zawołanie?

OLBRACHT.

Dziad mój w Krakowie kuty ma grobowiec, choć przyszedł z Litwy. Na tarczy Pogonie noszą przed nami w turnieju giermkowie.

STRZEMION.

Cześć to nielada, gdyż królewskie konie tylko nieliczni dostali litwini, domowi memu sławy to przyczyni,

jeżeli zechcecie spocząć w nim za progiem. —

Witając sercem, pozdrawiamy Bogiem.

To siostra moja...

OLBRACHT.

Piękna, jak jutrzeńka,

Królewskich świetlic i pokojów godna, anim się spodział, że w tej skalnej pu-

szczy, pośród urwistych wadółów i kuszczy taka lilija wykwitnie dorodna.

KRYSTA.

A wyście, panie, chociaż z Litwy rodem? Dworności polskiej dobrze wyuczeni?

OLBRACHT.

Jeżeli nas piękna tego zamku ksieni pragnie ugościć, wskażcie nam pokoje, Bośmy zdrożeni podróżą mozolną.

JASZKO.

Orszak z wozami szedł gościćem wolno, pan mój samopas, chciał się przebić górą, tako zbłądziłim.

STRZEMION.

Ha! w karpackich stronach ścieżki bywają kręte i zdradliwe, czy wy tak pieszo?

JASZKO.

Dwa rumaki siwe stary chłop trzyma na skrócie przy moście, drogę nam pieszą wskazał do kasztelu, rzekąc, że krótsza.

STRZEMION.

Tedy mili goście z tą oto panią kęs czasu się bawcie, a ja sam poidę wziąć tu wasze konie.

(Do Krysty).

Prowadź do izby, niechże spocznią pany. (Wychodzi).

SCENA 3.

KRYSTA.

Zawołani służebne i na pokoje posłę wody grzanej, pewno lubicie panie konwie srebrne, i pozłacane do mycia rąk dzbany, a u nas proste sprzęty, pościel lniana i twarde łoża rycerskie.

OLBRACHT.

Niech ino wiem, że te białe ręce tkaly płótna, na których legnę, tedy i bławaty, tak mnie rozkosznie do snu nie owina.

KRYSTA.

Ja na kądzieli z służebną dziewczyną sama len przedzę, lecz anim nie śniła, że taki rycerz spać będzie na chuście, którą utkałam...

OLBRACHT.

Moja pani miła, do nieba duszy za życia nie kuście.

KRYSTA.

Wszak chęć wywczasu tutaj was skusiła.

OLBRACHT.

Alem nie wiedział, jaka spadnie łaska.

KRYSTA (wchodząc do zamku).

Wždy proszę za mną.

OLBRACHT.

Miła, mądra kraska (wchodzą do zamku).

SCENA 4.

(Krysta siada na ławie na podwórze. Olbracht ukazuje się w górnym krużganku. Krysta zadziera głowę i patrzy z uśmiechem).

OLBRACHT (patrzac w dal).

Słońce, jakgdyby ktoś skrwawił ostroga, taką płomienną toczy juchę z nieba.

KRYSTA.

Nie trza wam czego, panie?

OLBRACHT.

Nie trzeba.

Tylko, że włosy nijak rozczesać mi się nie mogą. Widzicie z gąszczy bodiaki, kosy się silnie czepiły, jeży się na łbie, jak wiecha.

KRYSTA.

A to mi prawa uciecha; poślę wam zgrzebło przez dziewczę; możecie medlić co siły.

OLBRACHT.

Darujcie, zem wam niemiły.

KRYSTA.

To jeno trefność być miała, tako ot z płochej swawoli.

OLBRACHT.

Gdybyś tak pomódz mi chciała.

KRYSTA.

A wam się czego zachciewa?

OLBRACHT.

Rycerzom służyć ma dziewa, a jej znów kraśne panięta; takie zwyczaję po dworach.

Mienisz się teraz w kolorach, jak tęczą w krag owinięta.

KRYSTA.

Słońce zachodzi rumiano i luną jestem olśniewa.

Spieszcie się, panie, ze strojem, bo nie skończycie aż rano.

OLBRACHT.

Nie mnie winujcie, lecz siebie.

KRYSTA.

Czemże wam wadzę?

OLBRACHT.

Tą krasą.

Nim słońce zginie na niebie, niech oczy nią się napasą.

(znika w izbie).

SCENA 5.

Strzemion rozmawia z Krystą o przybyłych rycerzach, oraz o ślubie przez nią uczynionym.

SCENA 6.

(Schodzą Olbracht i Jaszko).

OLBRACHT.

Widok przyjemny dla oka szeroko, wieńce sosnowe nad skalną opoką, zagłębień dziwnie tajemne zaczaje.

STRZEMION.

Czar mają góry nasze i polany, niczem uroczne waszych dolin kraje.

OLBRACHT.

Pójrz, Jaszko, świat tu jak zaczarowany, ze mgły błękitnej włóczą się sżęzogi.

Piękną jest Polska od mórz po gór proggi, tam, gdzie nad chatą lipa złotopszczoła szumi przy świętym cudzie miodobrania, i tu, gdzie wiatery halny orły gania, w niebo łyskają blade wierchów czoła.

Zawsze, o świecie, o słońcu zachodzie, czy też przez rozpył widziana miesięczna piękna jest Polska.

STRZEMION.

Wy w stołecznym grodzie stale bawicie?

JASZKO.

W Krakowie na dworze.

STRZEMION.

Jakim?

JASZKO.

Wawelskim.

KRYSTA.

Widujecie króla?

OLBRACHT.

O, nazbyt często.

STRZEMION.

Tedy mówcie o nim, bo siła do nas różnych chodzi wieści.

KRYSTA.

Ponoć jest piękny?

STRZEMION.

I mężny.

JASZKO.

I cześci

rycerskiej umie dochować na tronie, i serce szczodre jest w tym Jagiellonie, a razem rzekłbyś jakiś czar niewieściej prawie miękkości.

OLBRACHT.

Ci co wiedzą lepiej, mówią, że goni za sławą po świecie, że śni o wielkim czynie, a jest słaby.

STRZEMION.

Goni za sławą?...

Wy nawet nie wiecie,

jak każda taka wieść mi ducha krzepi. Praw li to władcy?

JASZKO.

Chrobry, szczodry, śmiały, piskłę sokole, orzeł przyszłej chwały, gwiazda we światła świecąca koronie, wnuk Jagiellowy ze krwi i spojżenia.

STRZEMION.

A czy też dźwignie miecz w Polski obronie?

Kiej przyjdzie chwila, czy z jego ramienia piorun wystrzeli?

KRYSTA.

Pono jest uczony?

JASZKO.

Z świata całego do polskiej korony garną się w księgach biegłsi mężowie, jakoby drugi Rzym jest dziś w Krakowie.

KRYSTA.

Wzrostu jakiego jest i jakiej twarzy?

JASZKO.

We wszem rzeć można całkiem urodziwy i znamienicie poważny — nie zdarzy się łatwo równy jemu wielkowladny monarcha w świecie, w obejściu układny, a przepych w kole niego białołówny w trefieniu włosów, w szat strojnym wy-

borze, jakoby miód miał w gębie, taki mowny, z mieczem zaś zawdy chodzić zwykł po dworze.

OLBRACHT.

Przestań, królewskie wady i przymioty ja jeden dobrze znam, lecz zmilczęć wolę.

JASZKO.

Jemu ta obręcz nie ciąży na czole,

Królem być umie.

STRZEMION.

Jeszcze tylko trocha

chcę się dowiedzieć, zali to jest prawda, że w ludziach mężnych uprzejmie się kocha,

krom tak wielkiego urozkoszowania w mądrościach wszelkich, k'czemu, że się skłania,

nie dziw, gdy dali mu polską koronę magistri, almae matris bakałarze.

OLBRACHT (wstając).

Świata okaże, co, dziś utajone,

(rozgląda się dokoła)

Dziwne zamczyśko z ludzi opuszczone, wy tu chowacie jakąś świętą zbrodnię, obcym przybyszom skrytą i tajemną. Tam słońca luno konają czerwone w wodę strumienia, co szumi podemną krwawą żrenicą niebiosów wślepione. aż błyszczą rdzawe fale płynących szklivo. Tu z wami mieszka jakieś stare dziwo, rzeknijcie, nie tak jest?

STRZEMION.

Nic nie wiem, panie.

OLBRACHT.

Ma być przed nami ukryte, niech będzie.

(Głos dzwonka).

Cóż to?

KRYSTA.

W klasztorze znać dzwonią na „ave“.

OLBRACHT.

Gdzież tu jest klasztor?

KRYSTA.

Patrzcie, tam, na górze krzyż przebłyskuje przez powietrze mgławce, stąd opat nieraz w tych lasach poluje; zbyt świętobliwy nie jest, gdyż lud gada, że się tam gnieżdżą w skałach mnisze zbóje,

pono i kupców na drogach napada czereda księży...

STRZEMION.

Co powiadasz baje.

Jest ci człek więcej świecki, niżli mniszy?

OLBRACHT.

Teraz się księży zakonnych uciszy, co zabobonem lud nieuczny straszą; teraz za wolą biskupią i naszą, to jest królewską i seniorów rady mnichów przemocą wyciągniemy z celi, by się greczyńskim boginiom przyjrżeli, a powąchali starożytne księgi.

STRZEMION.

To wyście, panie, są w radzie wysoko?

OLBRACHT.

Jam jeno różgą królewskiej potęgi przeciw warchołstwu. Dobrzeście spomnieli;

jeżdżcie wy zaraz do tego klasztoru Księdza opata prosić na wieczerę. Zbłądziłem w drodze, czas mi się mitręży, a takbym musiał jutro znów do księży wstępować, niosąc zlecenia od tronu, bom jest namiestnik królów i starosta, czego mam dowód: listy i pieczęcie.

STRZEMION.

Ciągłe mi, panie, urastacie w cenie i w dostojenstwie. Spełnić wszystko świecie po myśli waszej miło mi też będzie.

OLBRACHT (do Jaszka).

Ty jeźdź zaświadczyć księdzu o urzędzie, który piastuje.

(Ciszej).

Nie wyjęczyc zasie, czego nie trzeba...

JASZKO.

Wasza Miłość.

OLBRACHT.

Pomnij,

chcę, by nie znano.

STRZEMION.

Wrócimy przy czasie

z księdzem opatem.

OLBRACHT (daje znak ręką).

(Jaszko, Strzemion wychodzą).

DCN.

Ulubionem mojem czytaniem były rozmyślenia świętego Franciszka Salezego, żywot świętej Teresy, a nadewszystko listy i modlitwy błogosławionej Małgorzaty Maryi Alaco, której miłość dla Przenajświętszego Serca, niby płonąca pochodnia, rozpaliała moją młodzieńczą wyobraźnię.

I ani się spostrzegłam, jak nieokreślona chęć pozostania nazawsze w klasztorze, u boku Wielebnej Matki, jedynej blizkiej mi istoty, przerażająca się w stałe postanowienie złożenia ślubów zakonnych.

Skończyłam właśnie osiemnaście lat, gdy zaszła okoliczność, która niejako położyła pieczęć na tych moich pragnieniach.

Okolicznością tą były obłóczyny Mildred Bankes, która, wróciwszy do Rzymu, odbywała nowicyat w klasztorze Niepokalanek.

Wielebna Matka wzięła mnie na tę uroczystość.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałam. Był cudny letni poranek, słońce świeciło jasno, kaplica klasztorna tonęła w kwiatkach i jarzących światłach; wszyscy obecni ubrani byli jasno, biskup przywdział szaty pontyfikalne, a Mildred, cała w bieli, opłynięta zwojami welonu, wyglądała, jak panna młoda.

I cała ta ceremonia była jakby weselną uroczystością, bez widomego oblubieńca, tylko jeszcze podnioslejszą i świętszą, niż ziemski ślub.

Co do mnie, płakałam z jakiegoś wewnętrznego rozradowania i zachwyty nad pięknnością tego obrzędu, a gdy potem poszliśmy wszyscy do refektarza i Mildred powiedziała mi, że wraca do Anglii i tam pracować będzie wśród upadłych dziewcząt Londynu, poprzysięgam sobie, aczkolwiek nie rozumiałam dobrze, o co chodzi, wstąpić w jej ślady.

Pamiętam, jak mnie raził gwar uliczny, gdyśmy wreszcie opuściły klasztor Niepokalanek, i jak przez całą drogę układałam sobie, że jeszcze dziś przed udaniem się na spoczynek wyznam Wielebnej Matce moje nieodwołalne postanowienie zostania zakonnicą.

Lecz tu padł grom.

Przyjechawszy do domu, zastałyśmy u drzwi listonosza. Jeden z listów był dla Wielebnej Matki. Odczytała go, milcząc, i milcząc również podała mi go z kolei. Treść tego listu brzmiała, jak następuje:

„Szanowna Pani“.

„Przybyłem do Rzymu zabrać moją córkę. Sądzę, iż jej edukacja jest już na ukończeniu, i uważam, że nadszedł czas przygotować ją do zmiany w życiu, jaka ją czeka“.

„Biskup naszej diecezji przy-

był wraz ze mną i obaj zamierzamy złożyć Jej nasze uszanowanie jutro, punktualnie o godzinie dziesiątej przed południem“.

„Z uszanowaniem
Daniel O'Neill“.

Rozdział XVI.

Jakby w nagłym olśnieniu, zrozumiałam znaczenie tego listu i dusza moja zbutowała się przeciw temu. Żeby mój ojciec po tylu latach zaniedbania zjawiał się teraz, by zmienić cały bieg mego życia, kiedy ja już rozporządziłam sobą, wydało mi się zniewagą i gwałtem. Może ojciec był w swoim prawie — przyrodzonym prawie, — mogącem tyczyć się jedynie mego ciała, ale nigdy mojej duszy. — w każdym bądź razie, oprę mu się i opierać się będę do ostatniego mego tchnienia.

Tak to sobie układałam w myśli podczas bezsennej nocy, ale gdy nazajutrz o dziesiątej zrana przysłano po mnie, bym się stawiała przed oblicze mego ojca, moje męstwo uciekło gdzieś za bory i lasy, i czułam, wchodząc do pokoju Wielebnej Matki, że kolana uginają się podemną.

Ojciec mój nie zmienił się prawie wcale przez te ubiegłe lata, posiwał tylko więcej. Ujrawszy mnie, wstał, a gdym się zbliżyła, położył mi ręce na ramionach i bystro się we mnie wpatrzył.

— Na włoszkę wyrosła dziewczyna. Podobna do matki — rzekł; a, zwracając się do biskupa, który siedział w głębi, dodał:

— Myślę, że to się da zrobić; co, księżę biskupie?

— Bez wątpienia — odpowiedział biskup.

Czerwieniłam się pod tem badawczym spojrzeniem mego ojca, odgadując w niem jakąś niezrozumiałą dla mnie celowość; Wtem Wielebna Matka przywołała mnie i posadziła przy sobie na krześle, a z wyrazu jej twarzy poznałam, że i jej to sprawiło przykrość.

Biskup przemówił pierwszy. Był to tytuł światowego księdza o wytwornej powierzelowności i ujmującym obejściu.

— Wielebna Matka — rzekł — wyrozumiała zapewne z listu pana O'Neill, że życzy on sobie zabrać natychmiast swoją córkę. Mniemam, iż nie napotka żadnych trudności w tym względzie.

Wielebna Matka nie odrzekła, ale musiała skinąć głową, czego, siedząc ze spuszczonej oczyma, nie mogłam dojrzeć, bo biskup ciągnął dalej:

— Oczywiście, musi nastąpić pewna zwłoka, potrzebna na sporządzenie odpowiednich sukien dla tej panienki; nie wątpię jednak, że Wielebna Matka raczy dopomóc panu O'Neill w tych przygotowaniach.

Wielebna Matka musiała znowu skinąć głową i obaj mężczyźni, widocznie uspokojeni jej milczeniem, zaczęli rozprawiać o najstosowniejszej chwili do zabrania mnie, ja zaś drżałam, jak listek, w obawie, że wezmą mnie stąd bezspornie, niby pakunek jaki. Wielebna Matka ujęła moją prawą rękę i, położywszy ją sobie na kolanach, rzekła:

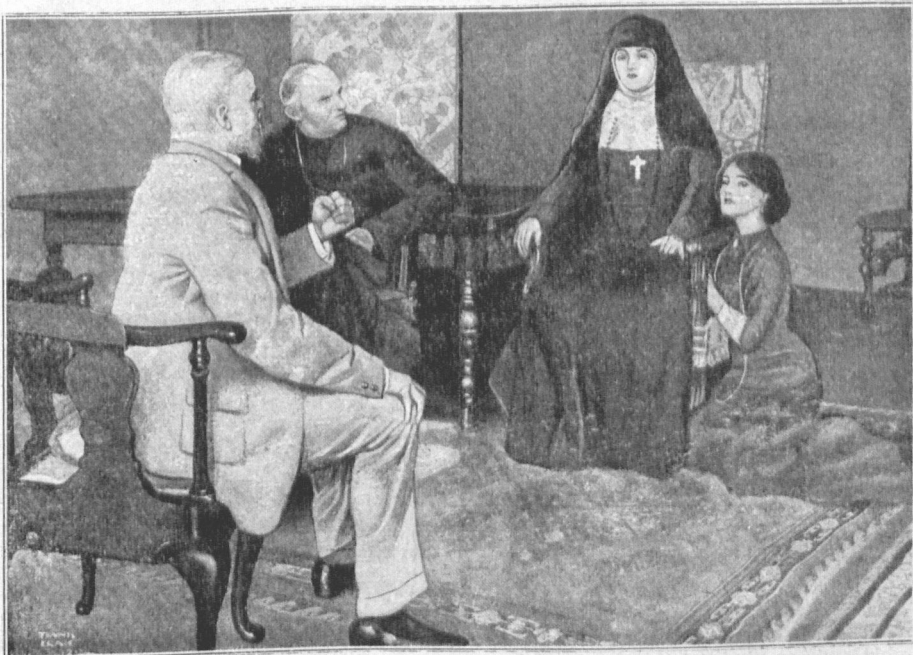
— Ekscelencyo!

— Wielebna Matko?

— Czy wiadomo ekscelencyi, że ta dziewczeczka — tu pogładziła moją drżącą rękę — znajduje się pod moją opieką od lat dziesięciu?

— Dano mi to do zrozumienia.

— I że w ciągu całego tego cza-



... Czy to ma znaczyć, że ją chce wydać za mąż? — zapytała Wielebna Matka.

su raz jeden tylko była w domu rodzicielskim?

— O tem nie wiedziałem, ale niewątpliwie tak jest, jak Wielebna Matka mówi.

— Czyli, innymi słowy, że większą część swego życia spędziła pod moją wyłączną pieczą?

— Wielebna Matka była dla niej bardzo dobrą, i niewątpliwie rodzina tej panienki zachowa dla Wielebnej Matki dozgonną wdzięczność.

— Jeżeli tak, ekscelencyo, to mam chyba prawo zapytać się, czemu odbierają mi ją tak nagle i jaką to jest ta zmiana w jej życiu, o której wspominał pan O'Neill w swoim liście?

Uśmiech znikł z twarzy biskupa, a on sam popatrzył z pewnem zakłopotaniem na mego ojca.

— Mów, księżę biskupie, — rzekł mój ojciec.

Biskup w nader oględnych i ogólnikowych słowach wyjaśnił, że pan O'Neill układa dla swojej córki bardzo pomyślną i świętą przyszłość, i z tego powodu życzy sobie, by wróciła do domu.

— Czy to ma znaczyć, że ją chce wydać za mąż? — zapytała Wielebna Matka.

— Być może. Nie jestem npoważniony...

— I że znaleziono już dla niej męża?

— I to być może. Nie mogę...

— Ekscelencyo — rzekła Wielebna Matka, prostując się z powagą. — Czy to się godzi?

— Czy się godzi?

— Tak, czy się godzi, aby ojciec, który przez dziesięć lat nie zajął się o swoje dziecko, rozporządzał teraz jej życiem, bez względu na jej chęci i wolę?

Podniosłam oczy i zobaczyłam, że biskup był jakby stropiony.

— Zdumiewasz mnie, Wielebna Matko, — rzekł. — Odkąd że to ojciec przestał być przyrodnym opiekunem swego dziecka? Nie był-że nim od początku świata? I czyż sam Kościół nie buduje praw swoich na tych podstawach?

— Ekscelencyo — rzekła Wielebna Matka z godnością. — Śmiem zapytać, kiedyż to Kościół nadał komukolwiek prawo — ojcu czy nie ojcu — rozporządzać czyjąś duszą, wzięci ja...

— Ależ, droga pani, — przerwał biskup. — Czyż można nazwać wzięciem zameżcie pod każdym względem odpowiednie, a nawet, powiedziałbym, zaszczytne...

— Księżę biskupie — ozwał się mój ojciec, podnosząc rękę. — Sądzę, iż mam prawo wtrącić tu moje trzygrosze?

Poprawił się na krześle i, zwrócony twarzą do Wielebnej Matki, mówił dalej:

— Przepraszam panią, ale pełnia pani nieścistość, mówiąc, że nie troszczyłem się o moją córkę.

Alboż kto inny, nie ja,łożył na jej utrzymanie i wykształcenie?

— Łożyłeś pan tak samo na utrzymanie swoich koni i psów; ale czy przez to rościsz pan sobie takie same prawa do istoty ludzkiej?

— Nieinaczej. A gdy ta istota ludzka jest równocześnie moją córką, nie dopuszczam, aby ktokolwiek bądź miał tu co do powiedzenia.

— Nawet jej matka, gdyby żyła?

Brwi mego ojca ściągnęły się lekko.

— Jej matka zgodziłaby się na wszystko, co bym uznał za dobre.

— Jej matka, o ile wywnioskować mogę, była bardzo potulną, bardzo łagodną i bardzo nieszcześliwą kobietą — rzekła Wielebna Matka.

Ojciec rzucił na mnie przelotne spojrzenie i rzekł po chwili:

— Jestem pani wielce obowiązany, wielce obowiązany. Ale ponieważ nie należę do ludzi, których się zbywa ogólnikami, zapytuję panią, co to wszystko znaczy? Czyżby pani układała jakie plany na przyszłość dla mojej córki, nie zasięgnąwszy mego zdania?

— Nie, panie.

— Więc może ona sama?...

— Tego nie wiem. Lecz skoro oddałeś pan swoją córkę na wychowanie do klasztoru...

— Nie ja ją oddałem, lecz siostra mojej żony, dlatego, iż uważała, że tak będzie najlepiej dla dziewczyny krnąbrnej, nieposłusznej i samowolnej.

— Znam córkę pana lepiej, niż ona, i mówię, że niema słowa prawdy w tych zarzutach.

Byłabym chciała rzucić się Wielebnej Matce na szyję; nie śmiałam jednak, tylko konwulsyjnie ścisnęłam jej rękę.

— Może być tak, może być inaczej — rzekł mój ojciec, — lecz skoro pani mówisz, żem córkę wysłał z domu, odpowiem, iż miałem i mam tyle ważnych spraw na głowie...

— Iż nie miałeś pan czasu zająć się tą najważniejszą sprawą, jaką Bóg panu powierzył.

— Pani — rzekł mój ojciec, wstając, — czy wolno mi spytać, jakim prawem przemawiasz pani do mnie w ten sposób?

— Prawem kobiety, która przez dziesięć lat zasternowała matkę tej sierocie, podczas gdy pan zapomniawszy o niej.

Na to ojciec mój ze ściągniętymi brwiami zwrócił się do biskupa:

— Księżę biskupie — rzekł — czy na to płaciłem przez dziesięć lat, i płaciłem słono, by teraz słuchać tych niebywałych obelg?

Biskup jednakże, widocznie pragnąc załagodzić sprawę, rzekł słodko:

— Ależ, mnie się zdaje, że my chcemy przebyć rzekę, nie doszedłszy do mostu... Może sama interesowana strona okaże się chętną zadostyc uczynić żądaniu ojca. Jakże? — dodał, zwracając się do mnie.

Drżałam tak silnie, że narazie tehu mi w piersiach zabrakło.

— Jakże? — ponowił biskup. — Czy panna O'Neill chce wrócić do domu z ojcem?

— Nie ekscelencyo, — odpowiedziałam.

— A dlaczego nie?

— Dlatego, że dom mego ojca nie jest dla mnie domem... dlatego, że moja ciotka była zawsze niedobrá dla mnie, dlatego, że mój ojciec nigdy o mnie nie dbał, dlatego...

— No, dlaczegoż jeszcze?

— Dlatego... dlatego... że chcę zostać zakonnica.

Nastąpiło chwilowe milczenie; poczem ojciec mój wybuchnął gorzkim śmiechem.

— Ach! to tak? Domyślałem się tego. Zamierzasz tedy wejść w spółkę z panią przełożoną w klasztorny interes?

— Moja matka pragnęła, żebym została zakonnica, i to jest również mojem życzeniem.

— Twoja matka była dzieckiem pod wielu względami.

— Moja matka była aniołem — odparłam, zapalając się. Gdy umierała, marzyła o tem, żebym została zakonnica, i dlatego nie mego postanowienia zmienić nie zdoła.

— Et! — rzekł mój ojciec z pogardliwym machnięciem ręki, poczem, zwracając się do Wielebnej Matki, mówił dalej:

— Pani przełożono! Każda niemal sprawa na tym świecie może być załatwiona w sposób polubowny, lub katagoryczny. Ja obrałem naprzód sposób polubowny, a jeżeli ten mnie zawiedzie, ucieknę się do katagorycznego, a wtedy może to wyjść na niekorzyść tych, którzy się przeciwko mnie buntują. Przybyłem tu, by zabrać moją córkę do domu. Nie uważam się obowiązany do zdawania nikomu spraw, dlatego chcę ją zabrać i co z nią zamierzam uczynić. Jestem ojcem, potrafię praw moich dochodzić, i nie radzę nikomu wtrącać się pomiędzy mnie a moją córkę. Zostawię ją tedy jeszcze tydzień, a gdy wróce, mam nadzieję, iż zastanę ją gotową i chętną — powtarzam: gotową i chętną — do pojechania ze mna.

Powiedziawszy to, ojciec mój odwrócił się i wyszedł swym ciężkim, miarowym krokiem z pokoju, a za nim podążył biskup, po wymianie ukłonów z Wielebną Matką.

Co do mnie, dygotałam cała z oburzenia i, zaledwie wyszli, rzuciłam się na szyję Wielebnej Matce, wołając namiętnie:

— Nie chcę! Nie chcę! Nie pojadę!

Ale Wielebna Matka, która podczas przemowy mego ojca dziwnie zbladła i zmieniła się na twarzy, odsunęła mnie łagodnie i drżącym głosem rzekła:

— Posłuchaj, Mary. Opowiem ci historię mego własnego życia, a

ty z niej wyciągniesz sama naukę dla twojej przyszłości.

I, trzymając moją rękę w obu dłoniach, cicho i zwolna zaczęła mówić o swoim ojcu, zubożonym fabrykancie, który, mając dwie córki, marzył dla nich o świetnych małżeństwach w arystokratycznych sferach. Ale starsza siostra Wielebnej Matki zakochała się w ubogim muzyku i uciekła z nim na Sycylię, zaś ona sama, wbrew woli zaręczona podżyłemu arystokracie, nie mogąc przewyciężyć w sobie wstrętu do tego związku i nie widząc innej rady, znikła również — lecz za kratą klasztorną.

— Nikt nigdy nie dowiedział się, co się ze mną stało — opowiadała dalej Wielebna Matka. — jak i ja również nie wiedziałam, co zaszło w domu po mojej ucieczce. Reguła naszego klasztoru była bardzo ostra. Czasem, po porannych modlitwach, przełożona mawiała: „Matka jednej z was umarła, módlcie się za jej duszę“, i to było wszystko, co do nas dochodziło z zewnątrz świata.

Ale natura, dziecko moje, jest potężną siłą i po kilku latach uczułam się bardzo nieszczęśliwą i udręczoną. Przełożona, rozumna i pełna serca kobieta, odgadła, co się dzieje w mojej duszy i rzekła mi: „Myślisz o twoim ojcu, myślisz, że jest starym i potrzebującym opieki córki. Idź do niego, pielegnij go, a potem wracaj modlić się do swojej celi“.

Opuściłam tedy klasztorne mury, ale u progu rodzicielskiego domu czekała mnie straszliwa wieść. Ojciec mój nie żył już od lat paru. Po moim zniknięciu odosobnił się zupełnie od świata, zmiażdżony wstydem i bólem, bo, aczkolwiek despotyczny i bezwzględny, kochał mnie głęboko, i popadł w czarną melancholię. Majątek jego rozgrabili złi ludzie, a on umarł w niedostatku prawie i nie było nikogo, ktoby mu otarł śmiertelny pot z czoła w chwili skonania.

Wielebna Matka umilkła i siedziałyśmy długo przytulone do siebie i wsłuchane w otaczającą nas klasztorną ciszę.

Wieczorem tego dnia Wielebna Matka odprowadziła mnie do mego

pokoju i, ucałowawszy mnie serdecznie, odeszła. Ale zaledwie położyłam się, mówiąc sobie, że posłuszeństwo córki względem ojca było wiecznym i nieprzepartym obowiązkiem zgóry nałożonym, a małżeństwo koniecznością, której większość kobiet, jakimś tajemnem również od Boga idącym prawem ulegać miała, gdy drzwi otwarły się i Wielebna Matka weszła znów z lampą w rękę.

— Mary. — rzekła — zapomniałam ci powiedzieć, że wkrótce opuścisz Sercanki. Siostry mego dawnego klasztoru pragną, abym wróciła do nich, jako przełożona. Otrzymałam na to pozwolenie, więc tak czy inaczej rozstałybyśmy się wprędce.

Wymieniła mi nazwę Zakonnego Stowarzyszenia, do którego miała się przenieść, i dodała:

— Pisuj do mnie jaknajwięcej i odwiedzaj mnie, gdy będziesz mogła. A gdyby... ale, nie, nie chcę myśleć o tem. Małżeństwo jest świętym związkiem i, zawarte po bożemu, może liczyć na opiekę i błogosławieństwo Niebios.

Z temi słowy zostawiła mnie w ciemnościach. Długo nie mogłam zasnąć, aż ukołysały mnie dzwony z pobliskiego klasztoru Pasyonistów, wzywające mnichów, by wstawali na nocne modlitwy.

DCN.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową, 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie, 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI
Warszawa, ulica Zgoda № 1.

Redaktor STEFAN KRZYWOSZEWSKI.
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Dunalewskiego 1.

Druk Towarzystwa Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

Z Kalotechniki.

Nr. 78. Azalii. Tak jest, owe czarne punkciki, to są węgry w pierwszym okresie. Najlepszym środkiem usu-

wającym węgry jest płyn Vesta oraz Peretki Alkaliczne. Sposób użycia załączony do każdego środka. Dla wybielenia szyi trzeba smarować ją na noc Lanolem — a po tygodniu skóra się znakomicie wybieli. Na żądanie wyślemy cennik.

Nr. 28. J. T. Emulsję Radium stosować przed masażem. Masaż Antowibratorem można wykonywać samej, gdyż jest to aparat bardzo łatwy w użyciu i skuteczny. Po przeprowadzeniu tej kuracji prosimy Sz. Panią o zakomunikowanie nam rezultatu dla udzielenia dalszych informacji.

Nr. 3. Krem Eros usunie nawet zadawnione odzienie. Od piegów radykalnym środkiem jest Lanol. Żądać tego środka tylko z marką ochronną Kalotechniki, gdyż pojawiły się w handlu bezwartościowe falsyfikaty.

Nr. 0.1. Porady lekarskie w Kalotechnice od 4—6, masaże odbywają się cały dzień. Brodawkę z nosa usunie lekarz w Kalotechnice za pomocą elektryczności. Analiza włosów kosztuje 3 rb. Wysłać przekazem — wyczeszki włosów listownie.

Nr. 14. Do płukania ust najlepszy jest Elixir radiowy. Doskonale dezynfekuje jamę ustną i chroni zęby od psucia. We Lwowie dostać można u Pawłowskiego. Akademicka 21, w Krakowie u Miklaszewskiego.

Listy z zamówieniami adresować: Kalotechnika, Marszałkowska 116, tel. 16-73. Wysłanka na prowincję za zaliczeniem.

Zarząd Kalotechniki.

Siwie włosy

Siwa bezpowrotnie po jednorazowym użyciu „Wody Pelanin”. Woda ta nie farbuje, lecz przywraca naturalny kolor włosów. Nie zawiera tłuszczu ani osadu. Nie brudzi skóry, proszę raz spróbować jeśli nie poskutkuje, przyjmujemy z powrotem: skład główny perfumeryjny J. Wróblewski, dawniej Lipiak. Wierszowa róg Niecałej, tel. 75-56. Wysłanka za zaliczeniem.

MOR TĘPI RADYKALNIE
szczury i myszy
wyłączna sprzedaż
ST. STANISZEWSKI
Warszawa, Krak.-Przedm. № 31.
Skład apteczny i perfumeryjny.

„Au Délice”

CHMIELNA 14. Tel. 182-21.

Cukry, Czekolady, Kakao, Biszkoty i wazelki wyroby z fabryk „Jau Fruzinski”, „Fuchs”, oraz Rosyjskich i Zagranicznych otworzyłam o czem zawiadamiam Sz. Odbiorców

8933 **BOGUMILA ZATORSKA.**

Nowość: Zamówienia przyjmują się przez telefon do godziny 10-ej wieczorem, z odyśaniem do domu. W niedziele i święta sklep otwarty od 2 do 5. Na prowincję za zaliczeniem.

Magazyn i pracownia ubiorów dziecięcych i damskich

MARYA ZYGNERSKA

Warszawa, Ś-to Krzyska № 14, róg Włodzimierskiej. Tel. 287-88

Poleca Partuszkę i mundurki pensjonarskie oraz wyprawy dla niemowląt. Przyjmuje obstatunki z własnych i powierzonych materiałów. Wyroby trykotowa. Ceny umiarkowane.

Magazyn obuwia mechanicznego

MARSZAŁKOWSKA 154 POLECA

MARKI:

„SŁON”

Nowości sezonowe!!!

CYGARETKI
ESPIC
ŚRODEK PRZECIWKO
ASTMIE
DUSZNOŚCI
i chorobliwym objawom,
wynikającym z takowych.
Tylko te, które są opatrzone marką i powyższym podpisem są oryginalne (prawdziwe).
Sprzedaż hurtowa: 11, rue St-Louis, w Paryżu
i we wszystkich dobrych aptekach we Francji i za granicą.

BIEDNA inteligentna wdowa chora już rok na płuca, na jedno oko zaniewidziała nie zdolna do pracy, udaje się do serc litościwych o pomoc. Ofiary przyjmuje Redakcja dla wdowy J. Dac...